31. marca 1866. Nr. 13. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 168 m. przy ulicy Dominikańskiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

O tworzeniu się ziemi.

Odczyt miany na korzyść uczniów Akademji technicznej we Lwowie podany według własnoręcznego opracowania przez

prof. Płachetkę.

(Ciąg dalszy.)

Tak w przeciągu uwarstwiania się pierwszych gór napływowych przeminęły wieki, podczas których nietylko ziemia, ale i atmosfera o tyle schłodniała, iż z ciągłem ubywaniem pary wodnej także ciśnienie gazów na powierzchnię morza i lądów się umniejszało, gęste mgły pełzły powoli na ciemnem tle firmamentu, ożywiający promień słońca przeniknął ostatecznie zasłonę napiętrzonych chmur, i oto »stało się światło na ziemi, tudzież nad odmętem wód oceanu.« Morza oziębiły się niżej temperatury wrzenia, część kwasu węglowego, połączona dotąd z rozpuszczonym dwuwęglanem wapna, ulatując w atmosferę, dozwoliła teraz wydzielić się owym pokładom głazów wapiennych, które bezpośrednio na łupku iłowym i szarej-wace osiadły, a tak grubnienie skrzepłej skorupy postępowało nieprzerwanie na wewnątrz i zewnątrz.

Szczególniejszego uwzględnienia godnem zjawiskiem, spowodowanem przez ciągłe ubywanie gorąca w atmosferze, w wodzie i na powierzchni ziemi, było bez wątpienia obudzenie się życia organicznego, które wśród tego okresu najpierw się okazuje, lecz co do właściwych powodów powstania swego według fizykalnych i chemicznych prawideł bynajmniej tak uzasadnionem być nie może, jak się to z dotychczasowem przeobrażaniem stworzenia nieorganicznego przeprowadzić dało. Że atoli twory żyjące podtenczas istnienie swoje rozpoczęły, o tem świadczą najdobitniej skamieniałe szczątki roślin i zwierząt, zachowane nam w pokładach łupku iłowego, szarej-waki, tudzież wapieni najstarszych.

Nie zastanawiając się przeto bezskutecznie nad chwilą wzniecenia pierwotnej siły życia, przejdźmy do zgłębienia okoliczności, na podstawie których możliwość bytu organicznego nastąpić mogła, tudzież o ile żyjątka ówczesne od rodów teraźniejszych różnić się musiały.

Warunki istnienia płodów organicznych są obecnie: mierny stopień ciepła, nietamowany przystęp powietrza i obecność ciał, które w odpowiedniem złożeniu jako żywność, w celu podtrzymywania życia, spożyte być mogą. W istocie swej i w wiekach dawno minionych warunki te nie mogły być wiele odmienne od okoliczności obecnych. I tak odnośnie do temperatury wiadomo nam, iż ogrzanie podówczas było wyższe; różnice klimatyczne podobnie jak zmiany pór roku nie mogły więc tak jaskrawo występywać jak teraz; a chociaż wody oceanów były gorące, przecież stopień ich opadł poniżej 100° C, to jest niżej rozparzenia, w którem białko się ścina, gdyżby inaczej organizmy zwierzęce, zawierające w składzie swoim rzeczony wytwór, istnieć nie były mogły. Wszak znajome nam są ryby, które żyją w zdrojach na +50 do +60° ogrzanych, jak n. p. w Sycylji, północnej Ameryce, — a nawet znaczna ilość innych zwierząt nie mniej jak roślin, zdoła wytrzymać gorąco wód, do +50° sięgające.

Co się tyczy przystępu powietrza atmosferycznego jest, jak wiadomo, dostateczna ilość kwasorodu, niezbędnie potrzebnego w czynności oddychania, głównym warunkiem dla rozwoju organizmów zwierzęcych. Nie mogło przeto pierwiastku tego brakować całkowicie w atmosferze ówczesnej, a mimo twierdzeń chemików, jakoby zabytek kwasorodu wtedy był znacznie mniejszy w składzie powietrza niżeli podziśdzień, zawsze wystarczyć zdołał dla potrzeb żyjątek wodnych, które jedynie ożywiały ziemię w okresie, o którym mowa.

Trzeci warunek, to jest obecność pożywienia, nie wymaga dla siebie dowodów, gdyż bezwątpliwie, z możliwością istnienia zwierząt i roślin, także i środki do ich utrzymania musiały być podane.

Kiedy więc tak wszystko było przygotowane, a mianowicie gdy ogrzanie atmosfery, wód, jako też powierzchni ziemi zniżyło się aż do tej temperatury, która nie zdoła więcej ściąć białka zwierzęcego, wtedy rzeczywiście pojawiło się życie na ziemi, a to jak nam badania gieologów udowadniają, równocześnie roślinne i zwierzęce.

Należałoby teraz wyjaśnić powody, towarzyszące pierwszemu budzeniu się życia, a tu nasuwa się nam dwojakie pytanie: czy rośliny i zwierzęta powstały w całej zupełności właściwych sobie cech rodzajowych, twórczem wyrzeczeniem słowa »niechaj się stanie,« czyli też zawdzięczają takowe byt swój powolnemu współdziałaniu naturalnych materyj pod wpływem odwiecznych prawideł?

W wiekach średnich ograniczano się, w odpowiedziach na pytanie takie, li na bibiję; w naszych atoli czasach nie waha się badacz wznieść ducha swego nad literalne pojęcie ksiąg świętych, i znakomite jeniusze w dziedzinie nauk przyrodniczych, jak Linneusz, Cuvier, Lamarck, Agassiz, Forbes, Lyell i inni starali się zgłębić tajniki sił przyrody względem tworzenia i przeobrażania organizmów, a nie wchodząc poszczególe w teorje owych uczonych, ograniczymy się tylko na zdaniu męża, który do największego prawdopodobieństwa w tej rzeczy doszedł, to jest na teorji angielskiego badacza Karola Darwina.

Przypuszczeniem tegoż uczonego, są wszystkie organizmy, tak obecnie żyjące, jak w skałach utrzymane, potomstwem kilku, albo może nawet jednej li pojedyńczo zorganizowanej formy pierwotnej, której powolne przeobrażanie się, według wpływów skutecznie działających, od pierwszego początku życia organicznego aż do czasów naszych, w ten sam sposób postępowało, jak to po dziś dzień jeszcze doświadczyć możemy. Wszakże, przytaczając jeden tylko przykład, widzimy częstokroć tworzący się pył w wodzie, zawartej w zamkniętem nawet naczyniu, jako nadzwyczaj drobna roślinka; doświadczać możemy rozrastanie się tegoż zarodka życia w tysiączne indywidua, oddając takowe pod działanie okoliczności, dla rozwoju tychże przychylne. Czyliż atoli wyższa temperatura powietrza i wody w owych przedwiekach historji naszego planety, czyliż rozbudzone siły chemizmu, dostateczna ilość wilgoci nie były to okoliczności dla rozbudzenia życia nader przychylne?

Darwin w nauce swej wychodzi z ogólnie znanego objawu, jako każden rodzaj organizmów do pewnych granic może się zmieniać, i że zmiany te równie przez wpływy zewnętrzne, jak i działania wewnętrzne wywoływane być mogą. Staje się zmiana okoliczności zewnętrznych dla istnienia dalszego utrudniającą, wtedy organizm albo ulega, albo zwyciężywszy szkodliwość owych wpływów, utrzymuje się, lecz przeobraża w późniejszych gieneracjach te części własnego ustroju, które dla dalszej walki od-

powiedniejszych własności nabywają. Doświadczać tego możemy równie na zwierzętach jak roślinach, przenosząc takowe powoli w odmienne stosunki klimatyczne, miejscowe, żywiące i t. p. Już dotychczasowe doświadczenia wykazują dostatecznie, iż nadejdzie kiedyś czas, gdzie poznawszy zupełniej rozmaitość kształtów i budowy istot organicznych z wszystkich okresów przeobrażania się ziemi, będziemy mogli ustawić następstwo wszystkich organizmów, od najniższego do najwyższego w ten sposób, iż między pojedyńczemi ogniwami tego łańcucha, zaledwo dostatecznie odróżniające cechy dadzą się dostrzedz. Nie mogąc się wszakże głębiej zapuścić w rozwój teorji Darwina, dodajemy tylko, że takowa już stopniowem doskonaleniem się życia zwierzęcego, od czasów dawniejszych aż do perjodu historycznego, a odwrotnie stopniowem karłowaceniem organizmów roślinnych podczas tychże okresów, najświetniejsze jest popartą.

Tak więc każdy znakomitszy ustęp w rozwoju ziemi naszej odznaczał się osobnem, sobie właściwem życiem Fauny i Flory, z których znikając jedno, ustępowało drugiemu, ale już wcale inaczej, wyżej, dokładniej, odmiennym stosunkom zewnętrznym odpowiedniej zorganizowanemu. Lecz przy tem nasuwa się pytanie, czyli raz na zawsze siła twórcza wcieliła możliwość bytu organicznego w pierwsze swoje płody ożywione? lub czy przy każdym nowym okresie Stwórca nowe wywoływał życie? Trudno rozstrzygnąć zagadnienie takie, lecz mimo to nie odstraszają się najznakomitsze gieniusze wieków naszych od zbadania i dociecenia tej prawdy — a na czele tak świetnych, tak wzniosłych prac stoi znowu D a r w i n ze swoją, chociaż zawsze tylko przypuszczoną teorją, według której życie, z jednego niby kiełka dane, wytwarza i rozłącza rodzaj z rodzaju, plemię z plemienia.

Teraz przejdziemy w streszczeniu pojedyńcze formacje ziemi naszej, począwszy od najdawniejszych osadów wodnych aż do okresu, w którym człowiek, jako ważna potęga gieologiczna pojawił się nad szczątkami dawno zniszczonych rodów zwierzęcych, jako najświetniejsze, z powolnego doskonalenia podrzędnych mu organizmów powoli wytworzone dzieło Wszechmocności.

(D. c. n.)

Tajemniczy druh.

Obrazek z niedalekiej przeszłości.

(Dokończenie.)

> Smutek, to cień od skrzydeł anioła,
> Cień litości — bo wie że jej imię
> Z jego duszą tam na gwiazdach drzymie...
>
> *M. Romanowski.*

Jar rozciągający się od dolinki, na której nasi powstańcy szczęśliwą stoczyli potyczkę z Moskalami, był ciemny i gęsty, a że zdala od gościńca położony, więc mało przez przejeżdżających nawiedzany. Z brzegu rzadszy, czerniał najeżonymi pniami, które starość w gęste brody z zielonego mchu poprzystrajała. Niektóre zakryte z wierzchu bujną paprocią, od dołu ozielenione ślazem i ożyną wyglądały jak bukiety wśród opadłych liści jesiennych i ledwie co rozkwitających trawek. Drożynki zarosłe zielskiem i zawalone chrustami gubiły się w ciemnej gęszczy lasu. Pod brzozami czerniały dość gęsto mrowiska, z za sosny zaglądała swawolnica wiewiórka, a na wierzchołku starego, pruchniejącego dębu pukał pracowity dzięcioł i gruchały siwe turkawki.

W części jaru najgęściej zarosłej krzewem i podszytej gęstwiną wije się wązka drożyna, na której ślady kół wozowych po arastały z dawna murawą i zielskiem, gubi się na chwilę, dalej przemyka się pomiędzy sosny i przebywszy białą zaspę piaskową wiedzie już wprost przed starą, na wpół przywaloną chatę budnika. Chałupa ta z przekrzywionym dachem, z zapadłym i poczerniałym kominem, z ściany poobdzieranemi, z których jedno na wpół zabite deszczułkami i zatkane szmatami okno wyzierało, od tyłu podparta palami i zarzucona wierzchami sosnowymi, wyglądała jak stara, wynędzniała babula, przygarbiona i kulawa, co na wpół już przygasłym wzrokiem pogląda na świat boży...

Pod bliskiemi sosnami stało kilka stosów gontów, obok w budzie warczał najeżony Burek, zwijał ogonem, jeżył długie, rude uszy, niedaleko od chałupy dogorywało ognisko, siwy dym ścielił się po wilgotnej murawie, a w popiele czerniały garnuszki i piekły się ziemniaki.

Na niewielkiej kłodzie sosnowej przed ogniskiem siedział budnik, szeptał pacierz, wygartywał spieczone ziemniaki z popiołu i układał na miskę.

Z za sosen wyzierało wschodzące słonko do zagrody starego Oleksy. Po całonocnej burzy niebo się wyjaśniło, chmury skupiły się na zachodzie i znikały powoli z horozyntu, a od wschodu wiał miły orzeźwiający wiatr i szeleściał liśćmi, z których grube krople wody opadały.

Stary budnik założył ręce na piersi, zakurzył fajeczkę i patrzał w siwawy dymek co się unosił z nad ogniska. Tymczasem wylazł z budy Burek, wyciągnął się, ziewnął, i przymilając i łasząc się przybiegł do swego pana. Widok ogniska miłe snać sprawił na nim wrażenie, bo zwijając radośnie ogonem zaskomlił kilka razy i położył głowę na kolanach Oleksy, jakby go chciał obudzić z zadumki i przypomnieć że czas śniadania się zbliża. Oleksa popatrzył na psa, pogłaskał go kilka razy, i rzekł z dobrodusznym uśmiechem, jakby mówił do najlepszego swego przyjaciela:

— Jak się masz Burku!... Dobrze, dobrze moja psino wierna, że budzisz swego pana!... Strawa gotowa. Czas zanieść posiłek naszym biednym gościom!...

Psu oczy zaiskrzyły się radością, przeskoczył kilka razy kłodę i znowu zaskomliwszy wesoło położył łapę na kolanach starego. Budnik ukroił kawał czarnego chleba, nadkąsił kawałek i dał Burkowi. Poczciwe psisko położyło się u nóg pana i patrząc mu w oczy życzliwie, widocznie rozsmakowywało się w skromnem swojem śniadaniu. Oleksa odsunął tymczasem od żaru garnki, nalał do miski strawy i zaniósł do chałupy. Po chwili wróciwszy odsunął drugi garnek i krzyż święty uczyniwszy na piersi zabrał się do śniadania.

Nie minęło chwil kilka, gdy naraz Burek zawarczał groźno, najeżył uszy i nabużywszy grubą, kosmatą sierść wybiegł na kilka kroków od budy. Wkrótce w lesie ozwało się turkotanie zbliżającego się wózka, Burek zaszczekał głośno i wybiegł na drożynę.

Z leśnej gęszczy wyjechał na drogę mały parokonny wózek i zbliżył się ku budzie. Pies ujadał głośno i naszczekiwał przed końmi dopóki go budnik poświstem nie zawołał ku sobie, tymczasem woźnica zakręciwszy wózkiem przed chałupą, stanął. Na wózku siedział mężczyzna w średnim wieku, przybrany w habit mniszy, otyły, rumiany, z krótko ostrzyżoną głową. Powoził chłopek w siwej grubej sukmanie, Pińszczuk, na plecach miał przewieszoną torbę plecionkę, z której wyglądała szyjka butelki i chleb, w ustach trzymał krótką glinianą fajkę o jeszcze krótszym drewnianym cybuszku.

— Pochwalony Jezus Chrystus!... ozwał się podróżny z wozu.

— Na wieki wieków!... dokończył budnik i z uszanowaniem uchylił kapelusza.

— Nie powiecie mi też człowiecze — zagadnął ksiądz zeskakując żwawo z wozu — czy nie przejeżdżało tędy wczoraj póżnym już wieczorem dwoch jezdnych?... Jeden z nich był młody, rzeski, po ułańsku ubrany...

— A drugi nieboraczysko ranny... w czarnej burce... — dokończył Oleksa.

— Tak!... ci sami!... potakiwał ksiądz wyczekująco.

Budnik popatrzył z pod oka na nieznajomego i przez chwilę zawahał się z odpowiedzią. Na twarzy księdza jednak malowało się tyle szczeroty i prawdy, że cień niedowierzania, który chwilowo ukazał się na ponurej twarzy budnika, znikł z niej w tej chwili zupełnie.

— Darujcie ojcze... żem się trochę zatrzymał z odpowiedzią... — ozwał się — ale bo i prawdę powiedzieć, różni to dzisiaj ludzie na świecie... Człek duszy nie przejrzy od razu..

Po chwili szepnął ciszej:

— Wam źle z oczu nie patrzy... to wam i powiem... Ten nieboraczysko z raną w piersi jest tu u mnie w chałupie... i drugi także... siedzi przy chorym i na krok się od niego nie ruszy...

Ksiądz uścisnął serdecznie rękę poczciwego wieśniaka, zrzucił płaszcz i pospieszył ku małym, niskim drzwiom chałupy.

Wyprzedźmy go.

Izba była mała, ciemna, odarta z gliny, o jednem na wpół deszczułkami zabitem okienku, przez które słabe światło dnia, jak gdyby o zmroku wciskało się do wnętrza Na ścianach wisiało kilka obrazów świętych, parę zeschłych wianków, w kącie stała strzelba, stara już i powiązana sznurkami, na kołku drewnianym nad nią wisiała torba, róg i kilka jarząbków. Okno wychodziło na tylną stronę zagrody. Rozsłaniała się przed niem niewielka zielona dolinka, okrążona powiewnemi brzozami, w głębi sosnami i gęszczą laszczyny. Na kilka kroków od chałupy rozrastał się stary niezwykłej objętości dąb, na którym bociany zbudowały sobie gniazdo. Ku wysokim konarom jego piął się zielony chmiel i wiotkimi ramiony ściskał starego olbrzyma. W dali widać było przemykające się wody rześkiego strumyka, które bujny szuwar i zielone mchy coraz to bardziej zarastały.

Taki widoczek otwierał się z okienka, pod którem niski, słomą pokryty stał tapczan. Na tapczanie leżał mężczyzna nie więcej jak około trzydziestu lat mający, o twarzy nadzwyczaj bladej a oczach czarnych, iskrzących gorączkowo. Obok niego siedział cokolwiek młodszy i trzymał rękę chorego w swojej dłoni. Twarz miał dziwnie zmieszaną, a w oczach świeciły mu łzy.

— Stanisławie!... mówił chory cicho, siląc się widocznie — jam ją kochał całą duszą, całem sercem!.. jam ją pokochał tak silnie, jak kochać tylko może ten, co z całego swego życia prócz knuta carskiego innego wspomnienia wynieść nie mógł, nieszczęśliwy sierota... niewolnik!...

— Bracie mój!... poruczniku!... przerwał Stanisław cisnąc jego dłoń gorącą w swojej ręce, a dalsze słowa przerwały mu łzy, które spłynęły po pięknej, prawdziwie męskiej jego twarzy. Astrachanów podniósł się cokolwiek na łóżku, ale ból w piersi rzucił go napowrót na posłanie, wykrzywiwszy twarz bladą jak ściana do przerażającego jakiegoś wyrazu.

Po chwili uspokoiwszy się cokolwiek mówił:

— Marja wyznała mi, że kocha ciebie, że serce jej nikogo już więcej pokochać nie zdoła... Co się w owej chwili w mojej duszy działo, tego nie potrafię wypowiedzieć, tego nigdybym nie opisał!... Jam sobie marzył że ona zaświeci mi jasną gwiazdą w czarnej drodze niewolniczego mego żywota, jam myślał, że ona otworzy mi świat inny, piękniejszy, jaki w snach moich często mi się objawiał!... tymczasem inaczej się stało...

Moskal jęknął głucho i zakrył dłonią oczy...

Po chwili przemówił cichszym głosem:

— Od tej chwili postanowiłem żyć tylko dla szczęścia Marji, postanowiłem zaprzeć się siebie i poświęcić się dla niej... W boju towarzyszyłem ci wszędzie, w niebezpieczeństwie widziałeś mnie obok siebie, bo o n a ciebie kochała, bo jej życie bez ciebie zamarłoby... zwiędniało...

Z wysileniem podniósł się, oparł głowę o ścianę i pogląnął w okno.

— Otwórz okno i drzwi chaty!... Niechaj najdzie jeszcze trochę tego wiosennego powietrza... wszak ostatnia to dla mnie już wiosna...

Stanisław milczał jak głaz, w oczach miał łzy, lecz słowa wypowiedzieć nie mógł. Serce ścinało mu się bolem, który oniemiał usta.

— Módl się za mną bracie!... bom ja biedny, bardzo biedny... szeptał cichym, coraz to słabszym głosem, a pierś mu się podnosiła gwałtownie, jak gdyby z woni wiosennego powietrza chciał jeszcze trochę zaczerpnąć życia...

— Bom ja Moskal... — dokończył ledwie dosłyszanym głosem, opuścił głowę, a twarz ściągnęła mu się do przerażająco cierpkiego wyrazu.

W tej chwili otwarły się drzwi chaty, a w progu ukazała się postać x. Kantego z wijatykiem w ręku Moskal podniósł się cokolwiek na łóżku, uchylił głowę i szepnął:

— Bóg idzie...

A wyciągnąwszy rękę ku księdzu, ozwał się serdecznie:

— Dziękuję wam ojcze, żeście nie zapomnieli o Moskalu. Jam szyzmatyk... lecz w ostatniej chwili życia to mniejsza... jeden jest Bóg na niebie, wielki i sprawiedliwy!...

— A srogi i nieubłagany dla gnębicieli naszych!... dokończył ksiądz i wyjął z za habitu czarny, żelazny krzyż z wizerunkiem rozpiętego Zbawiciela!...

Astrachanów pochylił głowę i uroczystym, namaszczonym głosem ozwał się:

— W imię Jego walczcie! walczcie za wolność waszego narodu i za wolność naszą!.. a w tym znaku zwyciężycie!...

Oczy Moskala gorzały błyskawicowem światłem, a twarz biała jak śnieg pełna była jakiegoś pięknego, wyższego, nieziemskiego wyrazu!... Wkrótce potem wyspowiadawszy się i przyjąwszy sakrament, skonał na rękach Stanisława, ostatnią myśl swoją pamięci Marji poświęcając...

Stanisław pospieszył do swego oddziału. Bił się jeszcze przez kilka miesięcy dzielnie, aż nareszcie na jednej z straconych czat opadnięty przez kozaków, po długiej i mężnej obronie dostał się w ich ręce. Dziś znajduje się o kilkaset mil od rodzinnej ziemi — w głębokiej Azji — wygnaniec.

W kilka dni po śmierci Moskala x. Kanty pojechał z smutną wiadomością do Topolnicy. Staruszkowie spłakali się, panu Michałowi pobielały włosy jak śnieg, a staruszka przygarbiła się bardzo, kaszlała, ciągle tylko powtarzając, że z przyszłą wiosną trzeba jej już będzie do swoich pospieszyć!... i pokazywała z dobrodusznym uśmiechem na niebo.

— Ha! kiedy tak, to i ja za asindźką!... dodawał w takich razach p. Michał, pukając w tabakierę i uśmiechając się łzawo.

A Marja?...

Marja zamarła prawie dla świata, zamknęła się w sobie i więdła powoli jak kwiatek na pustyni bez rosy, bez wody, bez orzeźwiającego powietrza. W sercu jej pozostała niczem niezatarta pamięć Stanisława — Sybiryjczyka — jak mara jednak senna wdzierała się tam blada, krwawa postać Moskala i jak pasożyt wypijała krew i soki życia powoli...

Henryk Mierzeński.

Z Petőfiego.

Dwaj podróżni.

Młodzieniec z dala od swej ziemi
Z płynącą z swej krainy rzeką,
Między górami wyniosłemi
W podróż puścili się daleką.

Młodzian niechętny, posmutniały
Zwolna posuwa krok za krokiem,
Rzeka z szybkością niknie przez skały
Szumnym wzburzonych wód potokiem.

*

Lśnią łzy u ciemnych rzęs młodziana,
Słowo na ustach jego kona,
Z wesołą pieśnią, niewstrzymana
W dal płynie rzeka zapieniona.

Aż się skończyły gór wyżyny,
A przed młodzianem i przed rzeką
Przez żyźne grunta, przez równiny
Droga posuwa się daleko.

Ach czemuż, czemu w jednej chwili,
Jak tylko w równe zeszli pole,
Młodzian i rzeka odmienili
Swoje oblicza i swe role?

Fale wesoły szept przerwały
I podążyły w dal leniwo,
Z wzniesionem czołem młodzian śmiały
Szedł w drogę nucąc piosnkę żywą.

Rzeka posępna, bo swe wody
Z gór własnych w obce szle doliny,
Wesoło nuci pątnik młody,
Bo do ojczystej wszedł krainy.

Wł. Sabowski.

Żywot i pisma Karola Balińskiego.

III.

(Ciąg dalszy.)

Tak skromnie sądząc o swych utworach, nie odważył się nawet zatytułować zbioru swych krótkich wierszy wydanego w Poznaniu w roku 1849 poezjami, ale nazwał go po prostu pismami. O zawartych w nim pieśniach wspomnieliśmy już wyżej, również i o tem, że w niektórych widać zwrot stanowczy ku późniejszemu kierunkowi, czy, by dokładniej się wyrazić, kierunek ten staje się wybitniejszym, boć przebija się on i w pierwszych poezjach, jeno mniej wyraźnie. I tak w wierszu ›Do braci lekarzy‹ (r. 1845) mówi: Ludzkość choruje, lecz źródło złego nie w ciele, raczej

Ducha ratujcie, bo w strasznych suchotach,
I tak go mało w dzisiejszych żywotach.
Iskrę tę trzeba wyszukać w popiele
I wydobytą roztlić do płomienia
I płomień rozdać po ludzkości ciele,
Płomień miłości, tylko on uleczy
Chorobę twoją, o rodzie człowieczy.

Czegoż innego nauczał on potem w całem późniejszem życiu? W tym samym guście jest pisana ›Spowiedź przed Aniołem‹. Godnem zastanowienia jest jeszcze ›Dzisiejszy rycerz‹, w którym człowiekowi chcącemu walczyć za prawdę i szczęście ludzkości, odpowiednie dzisiejszym okolicznościom daje przepisy. Po starych rycerzach, co ›wzrośli w żelazie i legli w żelazie‹ został ›popioł w pieśniach! popioł w grobie‹ —

Dziś już nie ten jest rycerzem
Kto najwięcej dusz wytraci,
Lecz ten kto życia pacierzem
Porwie w niebo swoich braci.
Dziś rycerzem cię nie stworzy
Złote cacko z ręki króla,
Dziś rycerstwem jest duch boży...
— — — — — — —
Weź najlepszą z wszystkich zbroję
Nie żelazną ani złotą,
Ty się cały okuj — cnotą!
— — — — — — —
Nie rozerwiesz wprzód łańcucha,
Aż go stopisz ogniem ducha;
Więc ty walcz dziś nie szablicą,
Nie toporem, nie obuchem,
Ale myśli błyskawicą,
Ale szczerym polskim duchem.
— — — — — — — —
Nie brak broni! nie brak siły!
Nie! jeno brak ludu woli.
Nie ma boju, nie ma trudu,
Coby złamał wolę ludu!
— — — — — — —
Kto chce walczyć sercem szczerem,
Z kijem będzie bohaterem.
Czapką działa brał Głowacki;
Z dział drewnianych grzmocił Puszet.
— — — — — — —
Więc co tleje rozpłomienić,
Iskrę ducha w żar zamienić,
To rycerzu cele twoje —
Twoje trudy — twoje boje.
Gdy wejdziesz na bojowisko,
A zapyta cię poganin
O twe godło i nazwisko
Mów: żeś Polak, chrześcijanin,
Innych nazwisk nie przybieraj,
Wszystkie inne są pogańskie;
Z krzyżem walcz, z krzyżem umieraj.

Wypisaliśmy obszerne wyjątki z owego wiersza, gdyż jest on niejako programatem przyszłej działalności Karola, a mniemamy, iż przy tak niezwykłej rzadkości dzieł Balińskiego w kraju i najobszerniejsze wyimki zbędnemi nie będą.

Przytoczmy jeszcze odnoszący się tu ustęp z przedmowy. Opierając się bowiem na owem powiedzeniu Göthego: *Wer den Dichter will verstehen muss in Dichter's Lande gehen.* obznajamia Karol czytelnika w przedmowie, pod jakiemi wrażeniami i z jakiej okoliczności który wiersz był napisany. Stawiającemu się tak za pomocą onych wskazówek na stanowisku poety, zrozumienie i przejęcie się poezją bywa wielce ułatwione. Z okazji więc ›Rycerza‹ pisze tak Karol: ›Dziś nie godzi się nam uważać Polski za Francyę, nie godzi się nam dzisiaj czynić na ojczyźnie naszej francuzkich doświadczeń... Zresztą ruchu, życia, duchowego życia nam trzeba — trzeba światła — trzeba miłości. A ruch ciała, ruch zwierzęcy nie jest życiem... Dziś powinniśmy już odwieść wzrok od obcych a szkodliwych nam wzorów, a skierować go wewnątrz siebie, w nas samych, w dusze nasze; całemi siłami w to ugodzić, aby braci śpiących obudzić — ślepych oświecić — upadłych podnieść, a wszystkich miłością Boga i ojczyzny rozpłomienić. Wtedy naród nasz powstanie sam przez się... A powstanie nie jako najemnik żądający wynagrodzenia — nie jako zwierz krwi i złota chciwy — ale jako prawdziwy Polak, dla swobody — ale jako prawdziwy człowiek, dla swej godności człowieczej — ale nakoniec jako prawdziwy chrześcijanin dla szczęścia i zbawienia ludzkości.‹

Nie dajemy tu żadnych komentarzy, raz że wszystko samo przez się jest dla każdego jasnem, powtóre że o każdej z przytoczonych tu myśli będziemy mieli sposobność pomówić obszerniej przy późniejszych dziełach Balińskiego, gdzie one są szeroko rozwinięte i uzasadnione.

Zaiste nie wiemy, ażali w czyich pismach można tak dokładnie śledzić wewnętrznego rozwoju myśli, jak u Balińskiego. W pierwszem zaraz dziele znajdujemy wszystkie główne pomysły, ale tylko lekko naszkicowane.

Później widzimy, jak coraz bardziej się rozwijają, rozszerzają, odrzucają obce narośle, pociągają mnóstwo konsekwencyj, aż nareszcie ostatecznego logicznego rozwoju dosięgają. Mogłoby to być mocno pouczającem i nader zajmującem studjum dla logika, ale my powracajmy do rzeczy.

Z początkiem roku 1850 zaczął Baliński wydawać ›Krzyż a Miecz‹. W redakcji pomagali mu Wł. Dzwonkowski a ponoś

i T. Lenartowicz. Pismo to wychodziło raz na tydzień w dużym arkuszu in quarto. Ostatni numer wyszedł 20 maja, gdyż z wyżej wymienionych przyczyn zostało wydawnictwo zwiniętem.

Pismo to, podług programu, zamieszczonego w pierwszym numerze, miało zawierać: ›rozprawy filozoficzne czyli poświęcone zgłębianiu ducha narodowego, historyczne, polityczne, krytyczne i poezje‹. Te ostatnie zajmują w całym układzie dość podrzędne miejsce, po największej części pióra Lenartowicza. Krytyczną część reprezentują tylko rozbiory ›Bolesława Chrobrego‹, ›Pierwszego odrodzenia się Polski‹, ›O własności przez Morę‹, ›Sprawy polskiej Kosińskiego‹ i kilku pomniejszych, chyba by tu policzyć bardzo szczegółowe zapiski bibliograficzne. Resztę dziennika, czy raczej cały dziennik zajmowały rozprawy mieszanej treści, bo mające zarówno historyczno-filozoficzny jak i polityczny charakter. Oprócz bowiem obszernego poglądu na kształtowanie się stosunków politycznych od r. 1848 aż do marca 1850 i literackiego studjum nad Gosławskim, cała reszta artykułów są to luźne rozprawy, rozwijające pojedyncze myśli czy prawdy, jakie narodowi podawać uważała sobie redakcja za obowiązek. Pismo swe uważała ona ›za wiec narodowy, na którym nieśmiertelna myśl Boża wydobytą ma być na jaw‹, za sztandar ›rozwinięty na grobie Chrobrego‹, za sztandar ›Polski prawdziwej, Polski jedynej, Polski chrześcijańskiej‹.

›A ktoby mniemał, że sztandar to nowy podnosimy, ten błądzi — bo tylko przypatrzcie się zbliska a poznacie, że to jest ten sam proporzec, pod którym walczyła Polska jagiellońska, pod którym zawsze zwyciężała — a który gdy porzuciła i właśnie dla tego że porzuciła, upadła‹.

›Otóż my wyciągamy z narodowego grobu sztandar, ten stary popiołami przodków ubielony i podnosim go w górę nad naród nasz, bo przekonani jesteśmy, iż tylko pod tym sztandarem zwycięztwo.‹

›My nic nowego nie przynosim‹...

›My tylko zagłębiać się będziem w tę ewangieljię, w to słowo Boże, aby z tej bezdennej studni prawdy wydobyć światło, siłę i życie dla biednej ojczyzny naszej.‹

›Jako chrześcijanie nie możemy brać innego godła jeno krzyż.‹

›A kto zrozumiał chrześcijanizm, ten wie, że krzyż nietylko miłością ale zarazem i mieczem jest.›

›Miłością dla wszystkiego, co czyste, boże, nieśmiertelne‹...

›Mieczem zaś dla wszystkiego, co brudne, podłe, zgniłe›...

Wyjątki te niech posłużą do zrozumienia, jak Karol pojmował stanowisko narodu i zadanie dziennika. Po największej też części rozprawy owe (godła do nich wzięte prawie zawsze z kazań sejmowych Skargi) starają się wyłożyć twierdzenia, że że naród nasz dopiero po zupełnem przejęciu się zasadami chrześcijaństwa może myśleć o powstaniu, że wtedy powstanie jak jeden mąż i nie będzie siły, coby mu się oprzeć zdołała.

Dalej, że całą siłę z siebie samych rozwinąć, wszelką myśl zbawczą z ducha narodowego wysnuć musimy. Ślepe naśladownictwo obcych wzorów na nic się nie przyda. Odrębny jest charakter naszego narodu, odrębnych więc a sobie tylko właściwych form potrzebuje.

Co do zewnętrznej formy to styl jasny, przystępny, zrozumiały, a przytem pełno życia, pełno werwy ledwie nie oratorskiej, sposób wyrażenia prosty ale silny i ognisty. Zaprawdę oprócz M. Mochnackiego zaledwie który z publicystów posiadał te wszystkie przymioty i w tak wysokim stopniu.

Mimo tych zalet pismo to ma jedną słabą stronę, a nią jest, że wygląda raczej na malutkie, osobno w świat puszczane broszury (choć jednym tchnące duchem), niżeli na dziennik. Przytem myśli te same, ciągle wypowiadane, choć same przez się prześliczne i w coraz nowej formie, sprawiają pewną męczącą monotonność, zwłaszcza przy zupełnym braku artykułów czysto politycznych, literackich albo beletrystycznych.

Zresztą i okoliczności nie nadto sprzyjały przedsięwzięciu Karolowemu. Apatja do wszelkiego ruchu, życia umysłowego i politycznego, jak w reszcie Europy tak i u nas rozpostarła się wówczas na dobre. To też ›Krzyż a Miecz‹ nie zjednał sobie sławy ani znaczenia u szerszego koła czytelników. Wybrańsi zaś przyjmowali go z uznaniem i współczuciem dla przedkładanych idej.

Pierwszym głosem, który się wyrwał z piersi Karola na tułactwie, była odezwa do kraju o wsparcie — ale nie dla siebie, nie dla tych, co mężnie stawiąc czoło przeciwnościom umieli zatrzymać niepodległość ducha, lecz dla tych, którzy i w skutek zawodu politycznych nadziei i w skutek ogromnego niedostatku materjalnego tracili wiarę w lepszą przyszłość i albo upadali moralnie, albo kończyli nieznośne życie — samobójstwem.

O tych ostatnich tak się wyraża Karol:

Biedni bracia, co zwątpili
I o Polsce i o Bogu,
I rozpaczą się zabili
W obcej ziemi — w obcym progu;
Ale nawet w skonu chwili
Legli z pieśnią przeciw wrogu,
Łaski carskiej nie żebrali,
Podsuwaną podeptali.
Toż choć grzeszni, jednak biali,
Toż choć grzeszni, nie przeklęci,
I nie poszli w zatracenie...

Przytaczamy ten ustęp na dowód, że nauka miłości, jaką Karol rozszerzał, wcale do tego stopnia nie rozmiękczała mu serca, by wierzył tylko w jakąś mistykę, w działania tylko nadprzyrodzone, a wszelkie inne środki potępiał, jak to twierdzą niektórzy źle uwiadomieni albo złośliwi.

Poemacik ten nosi nazwę: ›Kolenda‹, drukowanym nie był; początek tylko był umieszczony w Dzienniku Literackim w r. 1861 pod napisem ›Tułacze‹. Po tym wstępie, w którym okazuje zasługi emigracji, tak określa ówczesne położenie polityczne:

Wielka zorza, święta zorza,
Po nad światem przeszła marno,
Cofnęła się ręka Boża,
I znów wszędzie brudno, czarno.
Na krwi, co wciąż jeszcze pluszcze,
Znowu kramy wciąż rozpięte,
Bratobójcze płatne tłuszcze,
I korony z błota zdjęte!
Świat cały szyderczym śmiechem
Bluźni dzisiaj tułaczowi
I piekielnem woła echem:
Cześć carowi! cześć carowi!

Gdy więc dzisiaj i naród odwraca twarz od tułaczy, więc poeta wybiera się po kweście:

I ruszyłem w świat podróżny
Z kraju żalów, więc żalnicę
Wziąłem sobie za skarbnicę.
Kto mię przyjmie nieochoczy,
Kto dar rzuci dumnie, hardo,
Temu wzgardę płacę wzgardą,
Dziś choć złoty rzucę w oczy.

Datek bowiem sam nie wystarcza. Gdzie trzeba nietylko fizyczną ale i moralną leczyć nędzę, tam konieczne są serca — miłość. Każde na ten cel dane cacko

siłę wróci
I ziębniałą krew ocuci
I zwątpienia łzę osuszy
I przywoła moc do duszy
I uchroni od rozpaczy,
Bo przypomni, że rodzina
Nie wyrzekła się tułaczy,
Że wciąż kocha i wspomina.

Jest to tą sama myśl, z przyczyny której potępiał usiłowanie pociągnienia ludu, zainteresowania go dla sprawy narodowej jedynie za pomocą darowania ziemi, a więc środkiem materjalnym. O tem niżej pomówimy. (C. d. n.

Korespondencje.

Kraków dnia 17 marca 1866.

Nie podlega to najmniejszej wątpliwości, że krakowska szkoła techniczna w obec innych tego rodzaju zakładów europejskich na nadzwyczaj nizkim stoi stopniu. Smutne to jest niestety wyznanie, jednak konieczne dla każdego, który bezstronnem okiem patrzy na rzeczywisty stan tego zakładu. Dowodów tego mamy aż nadto: wieleż to młodzieży skończywszy technikę krakowską z celującemi świadectwami, a chcąc znaleźć umieszczenie czy to przy kolei żelaznej, czy inną jaką rządową lub prywatną posadę, musiało jechać do Wiednia, Pragi lub Paryża uczyć się od cudzoziemców tego, czego ich we własnym nie nauczono kraju. Pomijając to, ogólnem jest prawie zdanie, że w krakowskim instytucie technicznym niczego prócz matematyki wyższej i niższej nie nauczą; jeżeli w rzeczywistości wyznać acz z bolem serca to wypadnie, wyniknie ztąd, że cel tego zakładu jest najzupełniej chybiony, zadaniem bowiem wszechstronnie wykształconego technika nie jest posiadanie dokładne niższej i wyższej matematyki, lecz zastosowanie tychże do innych nauk i umiejętności, które są niezbędnie potrzebnemi dla techników w dalszym biegu ich życia.

Młodzież uczęszczająca do krakowskiej techniki nie może zaradzić temu złemu tak dla niej szkodliwemu; dla czego jednak Krakowianie i w ogóle mieszkańcy zachodniej części Galicji nie starają się o stosowniejsze urządzenie technicznej i realnej szkoły, tego prawdziwie nikt pojąć nie może.

W Czechach na blisko 5 miljonów ludności znajduje się sześć szkół wyższych realnych, a mianowicie: dwie w Pradze, jedna w Rakowniku (Rakonitz), jedna w Libierzu (Reichenberg), jedna w Łokciu (Elbogen) i w czeskiej Lipie (bömisch-Leippa); jedne z nich są rządowe inne zaś utrzymywane są przez gminy (Kommunal-Oberrealschulen).

Galicja na taką samą prawie ludność posiada jedną wyższą szkołę realną we Lwowie, nikt bowiem nie będzie mógł twierdzić, iż dwa kursa przygotowawcze przyłączone do krakowskiej szkoły technicznej są rzeczywistą szkołą realną. Najlepiej jednak będzie się mógł o tem przekonać ten, kto zna dokładnie program nauk dla wyższych szkół realnych w państwie austryjackiem. Różnica między urządzeniem szkoły realnej w Krakowie a urządzeniem innych tego rodzaju zakładów jest tak wielką i namacalną, iż człowiek wcale fachowo nie wykształcony łatwo ją dostrzeże; a niekorzystne skutki dla młodzieży, wychodzącej z tego zakładu, najlepszym są dowodem złego i niestosownego urządzenia obydwóch tych z sobą tak ściśle połączonych szkół. Główną różnicę stanowi to, że inne szkoły realne składają się z sześciu klas, a w Krakowie poprzestają tylko na dwóch kursach przygotowawczych. Krótki ten przeciąg czasu jest zupełnie niedostatecznym, aby uczeń był należycie przygotowanym i mógł z korzyścią słuchać wykładów w szkole technicznej. Trudnem jest także do pojęcia, na jakiej zasadzie uczniowie, którzy skończyli dwa kursa przygotowawcze w Krakowie, mogą być przyjęci jako zwyczajni słuchacze do instytutu technicznego? Wiadomo jest bowiem powszechnie, że w kompletnych szkołach realnych przez lat cztery uczą chemji, w Krakowie zaś przez pół roku, niepodobieństwem więc jest przy najszybszym wykładzie nauczyciela w tak krótkim czasie pojąć i zrozumieć dokładnie ten tak obszerny i z wielu względów tak trudny przedmiot. To samo dzieje się z fizyką, której uczą w niższych klasach realnych przez lat dwa bez dowodzeń matematycznych i z temiż przez tenże sam przeciąg czasu w wyższych klasach. Dzieło przepisane dla klas wyższych jest: *Lehrbuch der Physik mit mathematischer Begründung von Dr. August Kunzek*; w Krakowie niestety przeznaczony jest dla tego nie mniej ważnego przedmiotu jeden rok tylko, a dziełko: *Lehrbuch der Physik für Unterrealschulen von F. J. Pisko*, które jest używane w szkole realnej krakowskiej dowodzi samo, że może być przyjęte li tylko w klasach niższych, nie zaś w zakładzie, który ma służyć za podwalinę szkoły technicznej. Nie wspominam tu nic o geometrji wykreślnej i początkach mechaniki, których w Krakowie wcale nie uczą, chociaż te przedmioty są obowiązkowemi w wyższych klasach wszystkich innych szkół realnych w państwie austryjackiem.

Każdy więc człowiek mniej więcej wykształcony, któremu dobro własnego kraju jest drogiem i który wreszcie bezstronnem okiem widzi nizki stopień wykształcenia w zawodzie technicznym w naszym kraju, przyzna, że rzeczą jest konieczną zreorganizowanie szkoły realnej i technicznej w Krakowie; żyjemy bowiem w dziewiętnastym stuleciu, w tym wieku wynalazków i odkryć, w którym wszystkie głowy i ręce powołane są do pracy, w którym wreszcie ze wszystkiego korzystać umieją, zacząwszy od najdroższych kruszców a skończywszy na najpodlejszych łachmanach i szmatach. Teraz właśnie okazuje się potrzeba jak największa ludzi technicznie wykształconych. Wszystkie kraje i narody starają się o urządzenie najlepszych zakładów, w którychby młodzież mogła jak najdokładniej wykształcić się na tem szerokiem polu; u nas jedynie daje się czuć brak ogromny ludzi zawodowo wykształconych, a w razie potrzeby zwracamy się zawsze ku Zachodowi, zkąd dostajemy ludzi zdatnych, lecz nie znających ani kraju, ani języka, ani nizkiego stopnia oświaty naszego ludu, a tem samem niepraktycznych dla naszego biednego aczkolwiek tak hojnie od Stwórcy obdarzonego kraju.

Z boleścią przychodzi wyznać ten smutny stan rzeczy; dla tego też świętym obowiązkiem każdego oświeconego obywatela jest starać się całemi siłami o urządzenie stosowniejsze i praktyczniejsze technicznych zakładów, któreby mogły doprowadzić naród nasz do tego stopnia, iżby polegając na własnych siłach mógł razem z całym wykształconym światem iść torem cywilizacji i postępu.

Poznań dnia 19 marca 1866.

Nie wiele pocieszającego mogę wam napisać z naszej ongi Chrobrych i Przemysławów stolicy, bo niemieczczyzna takiej tu nabywa przewagi, że miasto straciło prawie charakter miasta polskiego. Wszystkie instytucje publiczne, handel, przemysł, administracja i reprezentacja miasta jest w rękach niemieckich albo zniemczałych Polaków.

W ostatnich czasach wynurzył się tu i owdzie na sklepach jeden napis polski więcej, bo ten i ów z naszych pychę z serca zrzucił i wziął się do łokcia, do wagi. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że do handlu, przemysłu u nas dotąd niejakiego potrzeba męztwa, niejakiego zaprzania się.

Jedyna Biblioteka Raczyńskich dziś jeszcze o tyle jest zakładem naszym, że przy niej bibliotekarze Polacy, ale że się i to wnet odmieni, domyślać się można. Dotychczas niektóre sale mieściły bogate zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, przed niejakim czasem poproszono z magistratu, żeby się Towarzystwo ze zbiorami wynieść raczyło. Jest to próba postępowania na przyszłość.

Słówko o rzeczonem Towarzystwie: Gromadzi ono w sobie wszystkie znakomitości literackie całego księstwa z wyjątkiem nauczycieli gimnazjalnych, którym rząd wstąpić do niego zabronił. Jako dowód czynności jego wychodzą Roczniki, bogate zawsze w cenne rozprawy. Czytać tam można śliczną pracę naszego filozofa Cieszkowskiego „O drogach ducha", historyczne rozprawy Wegnera, Szmitta, medyczne Małeckiego, uczone krytyki gramatyczne ks. Malinowskiego, o starożytnościach słowiańskich, rzecz Kazimierza Szulca.

Towarzystwo Przyjaciół nauk złożone z mężów zacnych i uczonych, ze wszystkich Towarzystw u nas najpoważniejsze, wywiera jednakże słaby nader wpływ na naród Jego członkowie znajdą w niem zasiłek duchowy, ale cóż młodzi, kiedy nawet kosztowne Roczniki tylko się wybranym dostają. Aleć cieszmy się, że istnieje.

Nie mamy teatru, nie mamy uniwersytetu, nie mamy żadnego Muzeum na sposób czeskiego, albo Maticy na wzór serbskiej, nie mamy więc żadnego ogniska żywota narodowego, żadnego centrum głównego.

W Poznaniu s p o d z i e w a m y s i ę dopiero wszystkiego dobrego.

Głosem, którym Poznań do księstwa mówi, jest Dziennik Poznański. Znacie z pewnością to pismo, które perjodycznie wznosiło się i upadało, raz raczyło czytelników samemi wyciągami z „Moskiewskich Wiedomosti", to znowu piękne zamieszczało artykuły.

Otóż Dziennik z nowym rokiem w inne przeszedł ręce, a że zmiana właścicieli pociągnęła za sobą zmianę zasad, domyślamy się także. Dziś o nim można powiedzieć, że się wyrabia na znakomity organ narodowy. Między politycznemi jego współpracownikami świeci Juljan

Klaczko. Z Rzymu pisuje Władysław Kulczycki. Do odcinku napisał powieść Bolesławita: „Na wschodzie“, w której zamierza malować kolonistów niemieckich między Słowianami, w odwecie niejako za przedstawienie ujemnej strony naszego charakteru w romansie G. Freytaga: „Soll und Haben“.

Oprócz Dziennika rozchodzi się z Poznania na Wielkopolskę i dalej na Szlązk, Galicję, a z drugiej strony na Prusy królewskie i Warmią pedagogiczne pismo „Oświata“, poświęcone publicznemu i domowemu wychowaniu. Jeżeli się obliczy ogromną ilość pism pedagogicznych za granicą — nawet w Czechach, i przy tem wspomni, że przez długie lata na całą Polskę ani jednego podobnego pisma nie było, pocieszyć się można, że przynajmniej teraz zdobyliśmy się na takowe. Oświata obudziła już ruch umysłowy między nauczycielami w w. ks. Poznańskiem, a byłoby dobrze, gdyby i galicyjscy pedagogowie w koło to wciągnąć się dali. Jest nadzieja, że na tej drodze przyjdziemy do narodowej pedagogicznej literatury, do podniesienia stanu nauczycielskiego bezpośrednio, a przezeń ludu naszego.

Nie należy także przepomnąć o dziele, które ostatniemi czasy u nas wyszło, a jest istotnie wzbogaceniem naszej sztuki.

Do dawnych ozdobnie ilustrowanych wydań Konrada Wallenroda, Pani Twardowskiej, Grażyny, Zachwycenia przystąpiło nowe: Pieśni o ziemi naszej. Ryciny według rysunku Kosaka wykonane po mistrzowsku nadają dziełu temu wartość pomnikową. Wystawcie sobie wyniosłe Karpaty od stóp aż po szczyt Krępaku, Łomnicy, w gienialnej perspektywie oddane, z biodrami lasem osłonionemi, z turniami świecącemi śniegiem — wystawcie sobie na jeden rzut oka ujęty cały charakter świata górskiego, aż do owej chmury po nad szczytami i orła, co patrzy na ziemie polskie i puszcze, aż do owego górala, co po zwalonem drzewie spieniony potok z taką przechodzi śmiałością i pewnością, jaka jemu tylko właściwa — wystawcie sobie to wszystko owiane tym samym poetycznym urokiem, który nas czaruje w pieśni; — tak artysta oddał myśl poety.

Inny obraz przedstawia nam Litwę z równą prawdą i sztuką. Na głównem polu widać rodzinę wieśniaczą. Kobiety przędą znany len litewski, a w pobliżu dziatwy zdrowej toczy kołem wąż domowy. Na górnem polu zaś:

Niby w ciężkiem zadumaniu
O przeszłości, czy kochaniu,
Stoją niemo czarne puszcze
I rozlały się jeziora.

Ten mianowicie obrazek jest tak piękny, tak pełen dziwnego czaru, że trudno oczu od niego oderwać. Dołem czai się sławny łowiec, łodzią przybija do brzegu rybak — wszystko charakterystyczne postacie.

Zagadką dla nas, dla czego między tymi cudnymi krajobrazami nie ma Wielkopolski? Biedniż my!

„Pieśń o ziemi naszej“ ma szczęście u nas. Ilustrowana jest rylcem i zgadnijcie czem jeszcze — muzyką. B. Dembiński, organista przy katedrze naszej, skomponował do niej muzykę i nazwał to melodramatem. Poemat ten jest opisowy zupełnie — gieografia Polski okraszona tradycjami narodowemi, które u W. Pola tak wielkie mają znaczenie. Liryzmu tam mało, a jednak robi wrażenie lirycznego poematu i budzi rzewne uczucie jedynie przez to, że ten cudowny kraj w pieśni, w rzeczywistości dymi się pożarami, świeżą krwią ludzką, a głośny jest płaczem. Żeby jednak stosowny był za libretto do melodramatu — nie rozumiem tego. Zresztą włoskie melodje polamały się na polskim wierszu.

Nie będę wam pisał o Siemieńskiego „Portretach literackich“, wydanych u Żupańskiego, bo już je pewno znacie, jak my już W. Pola „Pamiętnik do literatury polskiej w XIX wieku“ we Lwowie wydany otrzymali i czytamy go z nabożeństwem. Ideje, które u nas panowały, przechodzą tu przed naszemi oczyma, walczą ze sobą, giną, zwyciężają i widzimy to jaśniej niż może za dni onych widziano. Cały warsztat pracy narodu przed mówcą odkryty i widzi każdego co przychodzi i co odchodzi. Do tego kiedy mówi o osobach, podziwiać trzeba bijącą charakterystykę i dar dostrzegania u nich strony nieznanej.

O ostatnim tomie dzieł Lelewela wydanym u Żupańskiego także powiem to, że świadczy, jak wszechstronnym był umysł naszego badacza, ale zarazem jak niebezpiecznie nawet gienialnej głowie puszczać się na obce szlaki. Kiedy Lelewel o języku mówi — mocno kuleje.

A teraz jak u nas po karnawale wygląda — oto tak, jak w ulu, kiedy się zeń pszczoły wyroiły. Musiały to atoli być trutnie tylko, bo miodu po nich nie zostało. Żeby się była jedna wznioślejsza myśl między niemi zrodziła (mówię o wszystkich gościach, których było pełno z całego księstwa, a nawet z Kongresówki) — nic z tego.

Około południa wstawali, potem do fryzjera albo fryzjer do nich, potem na śniadanko, potem na krótką przechadzkę po alei aż do objadu, potem praca najważniejsza — ubranie, i wykrochmalony, okropiony panicz — przyszłość narodu — podpora ojczyzny — jak się to ich zwykle nazywa — w pojazd wsiadał i na bal spieszył. Czasem fantazja mu pańska w głowie zaświeciła — osobno od gawiedzi w sześciu, ośmiu nająć teatr i spektakl niemiecki podziwiać.

Miły Boże! Wystawcie sobie takiego panicza w kosmopolitycznym cylindrze, który przed dwoma laty dziurawiono, we fraku, który w kąt rzucano, z całą sztywnością, bezdusznością, metodą żurnalowej figurki, do tego z pańskiemi fantazjami, jakiej przykład powyżej, z błahym, płytkim sądem o jakiejbądź rzeczy poważniejszej — takich sto, takich tysiąc — takie całe nasze dorastające obywatestwo.

Czego nam dzisiaj potrzeba? — na starszych, żeby się zdarzył jaki Karol Marcinkowski, coby umiał zmusić do dobrego; dla młodszych połączenia, zagrzania, zainteresowania nauką — i tu Tygodnik naukowy i literacki pomódz mógłby wiele. ⊙

Dzieje Polski XVIII i XIX wieku przez Henryka Schmitta.

Kraków 1866 r. Tom I.

Jak w istnieniu pojedyńczego człowieka, tak i w bycie narodów są chwile martwoty, otrętwienia duchowego, chwile zupełnej niemocy, które albo siłą wewnętrznego życia indywiduum lub narodu przy sprzyjających okolicznościach rozbudzoną, prowadzą do przełamania omdlenia powołując do tem żwawszego życia, lub też przy braku wewnętrznych zasobów a przeciwnych okolicznościach do zupełnego moralnego upadku, znicestwienia. Nadto spostrzega się jeszcze w przebiegu chwil ważnych swemi następstwami dla ludzkości, że jeżeli sprawa jaka lub przeprowadzenie jakiej idei ma warunki bytu, czyli logicznie uzasadnione szanse udania się, przy nastręczeniu się nawet częstokroć chwilowych — ale nie istotnych — przeszkód, wszystko tak się składa, że idea lub sprawa zwycięża. I na odwrót. Jeżeli podstawy moralnej nie ma (idea lub sprawa) przy pozornych nawet zwycięztwach i powodzeniach musi upadać. Widzimy przykłady tego kilkakrotne w rewolucji francuzkiej, angielskiej, w rozmaitych kolejach wypadków w Polsce, jak za Łokietka, Jana Kazimierza podczas konfederacji tyszowieckiej... w Moskwie za Minina Pożarskiego (XVII w.)... Oto taką chwilę otrętwienia duchowego, taką sprawę nie mającą warunków jakiegokolwiek bądź zwycięztwa, przedstawia w Polsce byt jej polityczny i społeczny za panowania Augusta III. Kartą ilustracyjną tej chwili — tej sprawy (bytu Polski) jest dzieło Henryka Schmitta: Dzieje Polski XVIII (i XIX w.) Tom I. Dosyć spojrzeć na spis rozdziałów tej książki, widząc wymienionych 13 sejmów, które wszystkie zostały zerwane, albo zmarnowane, ażeby się przeświadczyć, że nie czem innem tylko chwilą upadku, martwoty, są lata panowania Augusta III, a sprawa bytu Polski zależąca właśnie od dojścia sejmu jako jedynego środka zaradzenia złemu — jest straconą.

Ponieważ jest to chwila rozsnuwająca symptomata słabości narodu, która się objawia jeszcze i w naszych czasach w trochę odmiennej tylko formie, przeto autor chcąc wykazać jasno jakie stanowisko zajmuje względem przedmiotu pośrednio dotykającego i obecne czasy mówi: „że dla należytego ocenienia wypadków i wysnucia z nich nauki na przyszłość, trzeba bez uprzedzenia się dla tej lub owej strony śledzić bezwzględną prawdę i wykazywać sumiennie każdą zasługę i każdą przewinę. Nie wyrządza się bowiem narodowi przysługi, jeżeli chcąc dogodzić jego dumie i pochlebić próżności, osłania się przed nim prawdę bezwzględną... Czyż naród potrafi zbawienną na przyszłość wysnuć naukę, jeżeli mu prawić będziemy o jego doskonałości, cnotach i zaletach, a nie wskażemy wad i przywar, które go niestety przy zbiegu nieprzyjaźnych okoliczności przywiodły do upadku? Z tego więc względu wyłożę te dzieje jak najbezstronniej, opierając się w mym

wykładzie na źródłach niepodejrzanych, jakie w rozmaitych znalazłem zbiorach.“

Oto co do stanowiska autora. Co zaś do podwalin na których obecne dzieło się opiera, przedstawiamy je czytelnikom wspominając o kilku nieznanych dotąd materjałach historycznych, których autor użył jako światła rozświecającego „w części“ niepewne lub bardzo niejasne sprężyny wypadków tego panowania. Dwa własnoręczne listy Stanisława Leszczyńskiego, z rękopismów biblioteki Czartoryjskich w Paryżu, pisane z Nancy 1739 r. do starosty buskiego Józefa Jabłonowskiego a świadczące w sposób niezbity, że król ten był w stosunkach z Potockimi a nawet zamierzał z pomocą uprojektowanej przez nich konfederacji jeneralnej dobijać się tronu polskiego. Powiedzieliśmy „rozświecające w części“ wypadki — bo autor dalej mówi: „że gdy dalszych szukał wskazówek i szczegółów, urwało się wszystko, a nawet teki Naruszewiczowskie odnoszące się do czasów Augusta III i zawierające wiele ważnych i ciekawych rzeczy nie dostarczyły najdrobniejszego w tej mierze szczegółu... Tu miejsce przypomnieć, że zamiarów Potockich w 1742 r. przeobrażenia Rzpltej polskiej o których Rulhières w swem dziele napomyka, p. Schmitt właśnie z przyczyn dopiero co ukazanych — niedostateczności materjałów — zupełnie nie objaśnia. Dalej pamiętniki własnoręczne Stanisława Augusta po francuzku pisane (2 tomy) a obejmujące zdarzenia życia jego aż do połowy Lipca 1758 r. znajdujące się w zbiorach naukowych książąt Czartoryjskich w Paryżu. Sprawozdanie o rozeszłym bezowocnie sejmie 1740 r. z niektóremi uwagami nad obecnem położeniem Rzpltej (po francuzku) znalezione w rękopiśmie zbiorów Czartoryjskich w Paryżu pod napisem: *Compendium rerum variarum ut pote Senatus Consiliorum, Universalium, projectuum, epistolarum magnatorum in publicis et privatis negotiis tum transactionum juridicarum ab aliquot annis conscriptum ad annum 1750 Varsaviae*... broszury, paszkwile, listy, manifesta, sprawozdania sejmowe, informacje na sejmiki i sejmy.

Obraz panowania Augusta III smutny, monotonny, z małemi odmianami w całej ówczesnej Polsce jednako się przedstawiający; wszędzie prywata, sobkostwo, chciwość, zaślepienie na dobro ogólne, nigdzie dobrej woli lub jasnej myśli. Trzydziestoletnią monotonią całego tego przeciągu czasu ożywia i ubarwia jeden jaśniejszy i okazalszy promień — boć przecież pojedyńczych, słabych, wnet po zabłyśnięciu gasnących było kilka — konfederacja Opatowska z której wywiązała się znana Dzikowska. Manifest tej konfederacji wypowiada jaśniejszą myśl, racjonalniejsze pojęcie o stanowisku Polski w obec mocarstw europejskich, aniżeli powszechnie rozszerzone wyobrażenia. Podnosi bowiem po raz pierwszy myśl zbratania się Słowian, wzywa nietylko samychże Moskali ale i inne ludy słowiańskie do wspólnej obrony przeciw dybiącemu na pognębienie całej Słowiańszczyzny giermanizmowi, nadto, w mniej wyraźny i dobitny sposób niż w 1831 r. występuje w swej przemowie do Moskali z tem samem jednak godłem „za naszą i waszą wolność“, przyrzekając im pomoc w zrzuceniu gniotącego ich jarzma, byle teraz nie pomagali w narzuceniu Polsce Niemca na króla. Marszałkiem tej godnej pamięci konfederacji był Adam Tarło, naówczas starosta jasielski, później wojewoda lubelski. Pan Schmitt tak go charakteryzuje: „dzielny śmiały, szlachetny, uczynny, niewynoszący się nad równość obywatelską a przytem ukształcony w sposób nieco cudzoziemski, wolnomyślny i wymowny“... na nieszczęście też Rzpltej marszałek tej objawiającej jakiś znak życia i myśli w pośród powszechnego bezmyślnego otrętwienia, konfederacji, zginął w kwiecie wieku w pojedynku z podkomorzym Kazimierzem Poniatowskim. Myśl manifestu konfederacji Opatowskiej zabłysła na chwilę, zgaszona wnet powszechną ciemnotą umysłów, a marszałek jej zajaśniał obywatelskiemi cnotami, (obrona mieszczan krakowskich) i uległ intrygom a nakoniec zemście familji. (Czartoryjskich.)

Układ obecnej książki, liczącej na 338 stronic 54 rozdziały, różni się zupełnie od zwykłego sposobu pisania p. Schmitta (np. pierwszy tom Dziejów Polski na 600 str. ma zaledwie kilka działów...) lecz to rozkawałkowanie opowiadania historycznego da się w części wytłumaczyć samą istotą przedmiotu historycznego. Całe to bowiem panowanie z nadzwyczajnie małym wyjątkiem (Konarski, Tarło, w części Jędrzej Zamojski) złożone z robotek pigmejczyków krzątających się około swojego trzosa i wymarzonej wolności szlacheckiej. Brak tu idei, konsekwencji, systematu, myśli dziejowej, około której naród obracałby swą działalność, ale są to czynności momentalne, powodowane chwilowym indywidualnym interesem. Dla przykładu tylko słówko o Czartoryjskich. Zwolennicy najprzód dworu francuzkiego, przeciwni więc Sasowi, nagle stają po jego stronie, potem przerzucają się na łono Moskwy, a widząc się zawiedzionymi używają tysiąca półśrodków, środków, środeczków, nie zawsze nawet godziwych — jak śmierć Adama Tarły w pojedynku, spowodowana według powszechnej wówczas opinji pchnięciem zadanem mu przez oficera Korfa, wywiezionego wnet po wypadku kosztem familji za granicę. . afera nobilitacji Brühla i na późniejszych sejmach unieważnienie onej, i tyle innych przejść świadczących o bezcharakterności ówczesnych ludzi występujących na polu dziejowem. To też i cały bieg wypadków nie jest konsekwentnym objawem urzeczywistnienia myśli panującego, lub narodu, ale raczej kalejdoskopem w którym dążenia, zamiary, czyny króla i wszystkich tych, którzy jakimkolwiek bądź sposobem pozyskali wpływ na sprawy kraju — w dziwnie częstokroć rażących a zawsze nielogicznych sytuacjach się układały. Wypadki więc tego trzydziestolecia nie dają się ugrupować systematycznie ani koło żadnego stronnictwa, ani koło żadnej kwestji (bo tej właściwie nie było — oprócz aukcji wojska — która może być zresztą uważana za niebyłą gdy w ciągu 20 lat nietylko że nie mogła się przeprowadzić, ale nawet sformułować), ani koło żadnego ogólnego widoku, bo przy ogólnem i powszechnem zamięszaniu umysłów i spaczeniu serc, wszystkie widoki ograniczały się na staraniu około własnego dobra. Wracając więc do tak częstych podziałów opowiadania trzeba wyznać, że ogólny rzut oka na cały obraz — o ile to jest możebnem — cierpi bardzo wiele na tem; ale autora usprawiedliwia istota samego przedmiotu. Rozpisywać się o stylu i sposobie wykładu historycznego byłoby zbytecznem, gdy są powszechnie znane i ocenione dzieła p. Schmitta.

— z —

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Skończył się właśnie druk trzeciego tomu pism pośmiertnych Juljusza Słowackiego. Tom ten zawiera dramata: Beatrix Cenci, Niepoprawieni, Horsztyński, i fragmenta dramatów i Krakus, Konrad Wallenrod, Jan Kazimierz, Złota czara i Beniowski. Zaraz po wyjściu tego tomu zacznie się drukować biografja Słowackiego wraz z rozbiorem jego pism przez prof. Dr. A. Małeckiego. Pierwszy tom tego dzieła będzie w połowie czerwca w ręku czytelników — przyczem się złoży prenumeratę na tom drugi.

— W drukarni Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich miał się rozpocząć druk dzieł Tarasa Szewczeńki. Poezje ukraińskiego poety wyjdą w dwóch tomach, trzeci będzie zawierał jego dziennik i listy.

— W Erlandze wyszły niedawno dwa dzieła o sądach przysięgłych. Jedno, znakomitego prawnika Mittermaier'a, zawiera obszerny, krytycznie i wiernie wypracowany obraz stanu, w jakim się sądy przysięgłych w Anglji, Szkocji, Irlandji, Ameryce, Francji, Belgji, Niemczech, Szwajcarji i Włoszech znajdują. Dzieło to nosi tytuł: „Erfahrungen über die Wirksamkeit der Schwurgerichte in Europa und Amerika, über ihre Vorzüge, Mängel und deren Abhülfe von Dr. K. J. Mittermaier.“ — Drugie dzieło wydał Fr. Oscar Schwarze pod tytułem: „Das deutsche Schwurgericht und dessen Reform“, wystawia obecny stan sądów przysięgłych w Niemczech i rozbiera rozmaite projekta podawane w celu zreformowania tychże.

— Teodora Mommsena „Historji Rzymskiej“ drugi tom wyszedł w czwartem wydaniu. Warto dzieło to przełożyć na polskie.

— Karol Frenzel wydaje pod tytułem „Dichter und Frauen“ życiorysy poetów i niewiast znakomitych z różnych narodów od najdawniejszych czasów. Ostatni zeszyt zawiera życiorysy Terencjusza, Horacjusza, królowej Elżbiety, Shakespeara, Swifta, Manon Lescaut'a, Woltera, Beaumarchais'go i Dantego.

— Dzieło Henryka Dittmar'a „Geschichte der Welt vor und nach Christus mit Rücksicht auf die Entwickelung des Lebens in Religion, Kunst und Wissenschaft“, którego pierwsze wydanie przełożył w znacznem skróceniu Michał Gliszczyński, wyszło teraz powtórnie w 6 tomach. Jest to pożyteczne kompendjum.

— Moriz Carriere: „Die Kunst im Zusammenhang mit der Culturentwickelung und die Ideale der Menschheit. (Leipzig, Brockhaus 1866)“ Tom drugi: „Hellas und Rom“.

— „Korespondencji Napoleona I.“ wyszedł tom XIX., w którym wszelako podobnie jak w poprzednich nie umieszczono wielu listów; niektóre zaś miano zupełnie zniszczyć.

Wydawca i odpow. redaktor **Bronisław Zamorski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.